

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/podziemie-antykomunisty/79411,Operacja-Lawina.html>



ARTYKUŁ

Operacja „Lawina”

OKRES HISTORYCZNY

(1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej

Autor: DARIUSZ WĘGRZYN 21.05.2020

W historii powojennego podziemia antykomunistycznego Zgrupowanie Narodowych Sił Zbrojnych Henryka Flamego „Bartka”, działające w latach 1945–1947 na Śląsku Cieszyńskim i Żywiecczyźnie, zajmuje miejsce szczególne. Był to bowiem największy liczebnie konglomerat oddziałów (patroli) NSZ w pojałtańskiej Polsce. Jego historię zakończyła ubecka akcja.

Zdrada „Łamigłowy”

Ta zbrodnia komunistyczna jest nazywana w literaturze tematu operacją „Lawina”. Jej początkiem była zdrada Kazimierza Zaborskiego „Łamigłowy”, który latem 1945 r. stał na czele VII Śląskiego Okręgu Narodowych Sił Zbrojnych. Podlegał mu organizacyjnie i operacyjnie Henryk Flame. Funkcjonariusze Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Będzinie wpadli na trop „Łamigłowy” i aresztowali go, a z nim jego dwie córki.

Działalność agenta „RR”, który oczywiście „cudem” uniknął aresztowania i na krótko zniknął z Górnego Śląska, znajduje odbicie w raportach NKWD wysyłanych do Moskwy, w których wspomniano o jego „zasługach”.

Zaborski podjął współpracę z UB jako agent „RR”. O ile można przypuszczać, że początkowo za jego decyzją stała obawa o życie swoje i bliskich, o tyle dalsza jego aktywność agenturalna na rzecz komunistycznej władzy wskazuje, że nowa rola zaczęła mu odpowiadać. Stał się niezwykle gorliwym współpracownikiem bezpieki, szukał kontaktów z podziemiem, a nawet zachęcał innych do podjęcia działań konspiracyjnych tylko po to, by potem móc ich wydać swym mocodawcom. Pozyskanie tak cennego człowieka spowodowało, że natychmiast do Katowic przybyli funkcjonariusze z Warszawy, by przejąć sprawę. Na ich czele stał Henryk Wendrowski, były partyzant AK. Znalazł się on u boku „Łamigłowy” jako rzekomy kapitan „Kos”, potem „Lawina” ze sztabu NSZ w Katowicach. Ich „współpraca” zakończyła się wielką wsypą konspiratorów NSZ i objęła nie tylko VII Okręg, lecz cały kraj.

Uderzenie, które wówczas wyszło z Katowic, w znacznym stopniu zniszczyło struktury dowódcze NSZ. Działalność agenta „RR”, który oczywiście „cudem” uniknął aresztowania i na krótko zniknął z Górnego Śląska, znajduje odbicie w raportach NKWD wysyłanych do Moskwy, w których wspomniano o jego „zasługach”. Dla naszej historii istotne jest to, że wsypa z Katowic nie dotarła na południe, w rejon Bielska, Cieszyna i Żywca. Tak się szczęśliwie złożyło, że za kontakty sztabu NSZ z „Bartkiem” odpowiadał Jerzy Wojciechowski „Om”, który wówczas wyjechał z kraju. Gdy powrócił, został natychmiast aresztowany 6 stycznia 1946 r., ale było już za późno, by schwytać „Bartka” i jego podkomendnych.

Oddziały NSZ na Śląsku Cieszyńskim i Żywiecczyźnie rozwijały się intensywnie, ale już bez łączności

ze strukturami sztabowymi w Katowicach. „Bartek” nie wiedział więc o zdradzie „Łamigłowy” i schwyтaniu „Oma”.

„Łamigłowa” wraca - początek gry

Na początku 1946 r. były komendant VII Śląskiego Okręgu NSZ powrócił na Górny Śląsk. Również wtedy Zgrupowanie NSZ na Śląsku Cieszyńskim i Żywiecczyźnie intensywnie się rozwijało. Rosła liczba patroli i organizowanych akcji, 3 maja w Wiśle partyzanci NSZ zorganizowali nawet wiec i defiladę. Ubegy wyznaczili „Łamigłowie” dwie role. Po pierwsze, miał szukać wszelkich śladów wiodących do struktur podziemia narodowego w tym rejonie oraz przekazywać o nich informacje. Bardziej perfidne było drugie zadanie. Zlecono mu, jako człowiekowi „cudem ocalonemu z wsypy”, tworzenie nowej organizacji podziemnej, która potem przybrała nazwę Śląskie Siły Zbrojne. W ramach tego zadania miał zachęcać osoby o poglądach narodowych do angażowania się w konspirację. Ci, którzy to robili, byli później skazywani na więzienie, a nawet – jak w przypadku ks. Rudolfa Marszałka – na karę śmierci.

Trzeba przyznać, że koncepcja tworzenia licznych patroli (a nie jednego zwartego oddziału), które rekrutowały się spośród miejscowej ludności i podlegały ogólnemu zwierzchnictwu sztabu zgrupowania na czele z Flamem, okazała się niezwykle skuteczna. Partyzanci mieli oparcie wśród swoich, na czas byli ostrzegani przed zbliżającymi się obławami – i dlatego oddziały UB, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Milicji Obywatelskiej nie potrafiły ich zaskoczyć. Z kolei w przypadku większych operacji partyzanci NSZ bez problemu łączyli siły. W rezultacie w połowie 1946 r. miejscowe siły UB, MO i stacjonujący w okolicy żołnierze KBW byli wobec Zgrupowania „Bartka” całkowicie bezsilni.

Lokalni działacze Polskiej Partii Robotniczej raportowali swym przełożonym, że w nocy, a czasami nawet w dzień władza w regionie należy do partyzantów NSZ, PPR zaś w ogóle się nie rozwija.

„Lawina” zmierza w stronę gór

Bezpieka, zbierając dane o konspiratorach NSZ, którzy jesienią 1945 r. uniknęli „wielkiej wsypy”, przypomniała sobie o oficerze sztabu VII Okręgu NSZ Franciszku Wąsie „Warmińskim”, który w momencie zdrady „Łamigłowy” nie przebywał już w Katowicach i nie działał w ramach struktur sztabowych. To Wąs odbierał od Flamego przysięgę, gdy ten z niewielką grupką współpracowników został partyzantem NSZ. Teraz UB odszukało „Warmińskiego” i okazało się, że był to strzał w dziesiątkę. 1 lipca 1946 r. w Gliwicach spotkał się z nim kpt. „Lawina”, który przekonał go, że jest oficerem sztabu z Katowic. Nie było to trudne, ponieważ ubek miał pełnomocnictwa „Łamigłowy”.

Lokalni działacze Polskiej Partii Robotniczej raportowali swym przełożonym, że w nocy, a czasami nawet w dzień władza w regionie należy do partyzantów NSZ, PPR zaś w ogóle się nie rozwija.

Zapewne podczas rozmowy Wendrowski wspomniał o jakimś szczególe z kontaktów Wąsa z Zaborskim, znanym tylko im, co ostatecznie uwiarygodniło „Lawinę”. Efektem spotkania było podanie przez „Warmińskiego” dwóch nazwisk osób z południa województwa śląskiego, które mogły być pomocne w dotarciu do „Bartka”: Karola Krybelta „Karola” i przede wszystkim Jana Kwiczali „Emila”, na początku 1946 r. łącznika sztabu Zgrupowania „Bartka”. Wendrowski mógł więc zameldować przełożonym, że jest coraz bliżej Flamego. 12 lipca 1946 r. spotkał się z Kwiczalą. Przybysz z Katowic miał o tyle ułatwione zadanie, że partyzanci ze Śląska Cieszyńskiego i Żywca oczekiwali na pojawienie się kogoś takiego jak on. Od jesieni 1945 r. nie mieli kontaktu ze strukturami sztabowymi NSZ, a sam „Bartek” nie chciał uchodzić za „bandytę” działającego na własną rękę. Poza tym partyzantów czekały ważne wyzwania. Ich liczba była zbyt duża jak na obszar, na którym operowali, a presja ze strony miejscowych sił bezpieczeństwa rosła. Liczba żołnierzy KBW się zwiększała; grupy operacyjne były zmotoryzowane, co pozwalało im szybciej dotrzeć w rejony, gdzie pojawiali się partyzanci; przybywało też donosicieli, którzy alarmowali UB o wizycie „leśnych” w danej miejscowości. Zgrupowanie NSZ jako całość pozostawało niezagrożone, ale poszczególne patrole coraz częściej były ścigane przez grupy operacyjne lub wpadały w zasadzki. Straty rosły i był już najwyższy czas na podjęcie kluczowych decyzji, które według „Bartka” wymagały konsultacji z centralą w Katowicach. Sam Kwiczala nie miał powodów do nieufności. Skontaktował się z nim człowiek, którego przysłał „Warmiński”, mający pełnomocnictwa komendanta Okręgu NSZ „Łamigłowy”. Kolejny etap na drodze bezpieczeństwa do „Bartka” został pokonany.

Wendrowski realizował swoją grę w określonym celu. Pojawił się pomysł, że skoro trudno pokonać podkomendnych Flamego na ich własnym terenie, to trzeba grupę wywabić poza obszar Beskidów. Stąd koncepcja zorganizowania kilku transportów rzekomo w rejon położony nad Nysą Łużycką. Nie wiemy, czy na tym etapie już zakładano, że przewożeni ludzie zostaną zamordowani, czy też chciano ich aresztować i postawić przez sądem. Przerzut mieli zorganizować fałszywi żołnierze NSZ ze sztabu z Katowic, a w rzeczywistości najbardziej zaufani funkcjonariusze UB. Oferta, którą „Lawina” zamierzał przedstawić „Bartkowi”, wydawała się atrakcyjna. Partyzanci mieli opuścić rejon, który rzeczywiście stawał się coraz mniej bezpieczny, i przenieść się na tzw. Ziemię Odzyskane, gdzie rzekomo mogliby swobodnie operować. Bliskość granicy dawała także nadzieję, że w przypadku gdy zrobi się naprawdę gorąco, można będzie próbować przebić się na Zachód. Pomysł z przeprowadzką partyzantów mógł być dla „Bartka” wiarygodny choćby z tego powodu, że już w połowie 1945 r. struktury sztabowe NSZ z Katowic, jeszcze niezinfiltrowane przez UB, miały

koncepcję decentralizacji partyzantów i lokowania ich w sposób planowy w niewielkich grupach na terenie Polski w nowych, pojałtańskich granicach. Flame wiedział o takich pomysłach, więc powrót do tej idei w 1946 r. mógł się mu wydawać całkiem rozsądny.

„Lawina” wspina się na stoki Baraniej Góry

Ostatecznie 7 sierpnia 1946 r. wieczorem „Lawina” dotarł do sztabu Zgrupowania NSZ stacjonującego na zboczach Baraniej Góry. Podczas rozmowy z „Bartkiem” tego wieczoru i następnego dnia wyraźnie dał mu do zrozumienia, że reprezentuje sztab NSZ i że Flame ma wykonać wytyczne i rozkazy z Katowic. „Lawina” zapowiedział więc przeniesienie oddziałów NSZ z Beskidów w rejon Jeleniej Góry, gdzie miały walczyć z dywersantami niemieckimi. Wstępne plany przewidywały przerzut 180 partyzantów, a szczegóły miały zostać dopracowane do 20 sierpnia.

Jak widać, prowadzący grę operacyjną funkcjonariusze UB starali się wywierać na „Bartku” presję, by ten nie zmienił zdania. Obawiano się też ewentualnej dekonspiracji operacji. Przed wyznaczoną datą w UBP opracowano tzw. plan likwidacji „B”. Kierownictwo NSZ z okolic Cieszyna i Żywca miało zostać przewiezione do Gliwic, a po 1 września zamierzano wysłać na zachód cztery transporty liczące w sumie ok. 140 osób. Każdy z nich miał zostać zorganizowany wedle podobnych zasad. Broń maszynową planowano przewieźć oddzielnym samochodem, partyzanci mogli mieć przy sobie tylko broń krótką. Mieli zostać przetransportowani na tzw. punkt opolski, gdzie funkcjonariusze UB podający się za żołnierzy NSZ uraczyliby przybywających kolacją z alkoholem. Przewidywano, że śpiący partyzanci zostaną zatrzymani i postawieni przed sądem, a niewywiezione resztki zgrupowania – zlikwidowane. Przyjmuje się, że ów dokument zakładał raczej zatrzymanie partyzantów, a nie ich fizyczną likwidację. Z opracowanym planem transportów Wendrowski zjawił się 20 sierpnia na Baraniej Górze. Tam przemawiał do dowódców poszczególnych patroli i uzasadniał konieczność relokacji sił NSZ. Przewidywano, że ciężarówki zabiorą w okresie od 1 do 8 września 1946 r. w sumie 140 najlepszych partyzantów wraz z uzbrojeniem. Sam „Bartek” chciał jechać w ostatnim transporcie, ale dał się przekonać „Lawinie”, że musi udać się do Gliwic na operację nogi, a potem po krótkiej rekonwalescencji powróci do swych podkomendnych, by na końcu pojechać na zachód. 31 sierpnia 1946 r. Flame przekazał dowództwo nad zgrupowaniem Józefowi Kołodziejowi „Wichurze” i wraz z Kwiczałą „Emilem” wyjechał na leczenie do Gliwic. Równocześnie pojawił się w grze kolejny „oficer NSZ”, a w rzeczywistości funkcjonariusz UBP, Czesław Krupowies, przedstawiający się jako porucznik NSZ „Korzeń”. Miał on nadzorować organizację transportów.

O mały włos cała operacja UB nie zakończyła się klęską i zapewne wyrokiem śmierci wydanym przez partyzantów na „Lawinę”. Mianowicie do Antoniego Bieguna „Sztubaka”, dowódcy oddziału operującego na Żywiecczyźnie dość luźno powiązanego z „Bartkiem” dotarły sygnały o możliwej penetracji Zgrupowania NSZ przez agentów UB. „Sztubak” skojarzył fakty i zauważył, że wszystko to zbiegło się z przybyciem „Lawiny”. Badacze wskazują, że owo ostrzeżenie mogło pochodzić od krakowskich struktur Zrzeszenia WiN, ale bardziej prawdopodobne, że przyszło od dowódcy oddziału Narodowej Organizacji Wojskowej Józefa Zadzińskiego „Wołyniaka”, którego podkomendni w marcu 1946 r. przybyli do Gliwic, gdzie planowali

budować bazy przerzutowe dla partyzantów z Rzeszowszczyzny. Tam zetknęli się z „Lawiną”, co dla części z nich zakończyło się aresztowaniem. Propozycje kierowane do „Wołyniaka”, by przeniósł się na zachód, nie spotkały się z akceptacją. Doświadczony dowódca wietrzył postępek, jak się okazało – słusznie. Prawdopodobnie potem to on przesłał Biegunowi ostrzeżenie przed angażowaniem się w przerzuty na zachód. Niestety, głos „Sztubaka” nie został wysłuchany. Nie powiódł się także pomysł, by aresztować „Lawinę”, powracającego ze spotkania z „Bartkiem”. Ostatecznie z przerzutu partyzantów nie zrezygnowano, ale „Sztubak” był sceptyczny wobec tego pomysłu i zakazał swym podkomendnym wyjazdu. Tylko ci, którzy mimo wszystko pojechali, przypłacili to życiem, natomiast większość podwładnych „Sztubaka” ocalała.

„Lawina” zapowiedział przeniesienie oddziałów NSZ z Beskidów w rejon Jeleniej Góry, gdzie miały walczyć z dywersantami niemieckimi. Wstępne plany przewidywały przerzut 180 partyzantów, a szczegóły miały zostać dopracowane do 20 sierpnia.

Trzy transporty

W pierwszym transporcie pojechało w sumie około czterdziestu partyzantów (głównie wartownicy sztabu „Bartka” dowodzeni przez Władysława Niesytkę „Felka” oraz część grupy „Orła Białego”, na której czele stał Tadeusz Obtulowicz „Juhas”). Zbiórkę „leśnych” organizował Kołodziej. Nie obyło się bez kłopotów. Gdy 5 września 1946 r. podjechały samochody do załadunku, w pobliżu usłyszano strzały i operację odłożono do następnego wieczora. Przyjmuje się, że los pierwszego transportu został przypieczętowany w majątku Scharfenberg (Grudzieniec) w pobliżu Malerzowic Wielkich na Śląsku Opolskim. Partyzanci zostali tam przywitani przez rzekomych żołnierzy NSZ (w rzeczywistości funkcjonariuszy UB) i ulokowani w zniszczonym pałacu, gdzie czekała na nich kolacja z alkoholem, do którego wcześniej dodano środek usypiający. Nad ranem rozpoczęła się likwidacja. Zamordowano strażnika, a potem do środka budynku wrzucono granaty. Oszołomieni partyzanci zostali schwytani, a potem zaprowadzeni nad wykopany wcześniej dół. Tam po rozebraniu do naga mordowano ich strzałem w tył głowy. Przebieg tej operacji został zrekonstruowany na podstawie zeznań skruszonego na starość funkcjonariusza UB Fryderyka Zielińskiego. Wspominał on po latach, że „mokrą robotę” wykonywało czterdziestu Sowietów, a funkcjonariusze UB pełnili funkcje pomocnicze. Pozostanie zapewne tajemnicą, czy rzeczywiście partyzantów mordowali enkawudziści, czy też Zieliński starał się zataić sprawstwo swoje i kolegów. Mimo oszołomienia wybuchem i wypitym wcześniej

alkoholem, część partyzantów broniła się i przynajmniej dwóch funkcjonariuszy UB zostało rannych. Co więcej, oszołomiony wybuchami partyzant Jan Cieślar przeszedł przez kordon otaczający budynek i został schwytany dopiero w Łambinowicach, a potem zastrzelony. Z kolei Andrzej Bujok „Jędrrek” schował się na strychu i wyszedł z ukrycia po kilku dniach, a następnie pieszo wrócił do domu. Niestety, na miejsce dotarł za późno, by powstrzymać wyjazd ostatniego transportu, a jego opowieść wydawała się partyzantom NSZ tak nieprawdopodobna, że uważali go za donosiciela UB. Przez pewien czas był nawet przetrzymywany w bunkrze na stokach Baraniej Góry jako zdrajca. Równocześnie rozstrzygnął się los zastępcy „Bartka” – Jana Przewoźnika „Rysia”. Miał on nadzorować przerzut i rozmieszczenie partyzantów w nowym miejscu. Został przywieziony samochodem tam, gdzie rozegrał się dramat partyzantów pierwszego transportu. Kiedy szedł drogą leśną, zabił go strzałem w tył głowy rzekomy żołnierz NSZ, który go odebrał, a w rzeczywistości funkcjonariusz UB Czesław Gęborski. Tak skrytobójczo został zamordowany jeden z najważniejszych partyzantów Zgrupowania NSZ z Podbeskidzia.

Tuż po likwidacji partyzantów z pierwszego transportu, na lotnisko w Starym Grodkowie przyleciał z Warszawy samolot z najwyższymi rangą funkcjonariuszami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, na których czele stał szef resortu Stanisław Radkiewicz. Przybyli, by na miejscu zapoznać się z przebiegiem operacji.

Drugi transport wyjechał między 10 a 15 września. Tym razem funkcjonariusze UB zdecydowali się zmodyfikować plany. Ponieważ w poprzedniej akcji partyzanci się bronili, tym razem postanowiono zastosować jeszcze radykalniejszą metodę likwidacji – wysadzenie w powietrze budynku, w którym wcześniej zgromadzono „leśnych”. Wybór padł na lotnisko wojskowe w Starym Grodkowie. Był to olbrzymi obszar pozbawiony domostw, co gwarantowało konspirację działań. Pod jednym z drewnianych baraków na lotnisku podłożono kilka ładunków wybuchowych połączonych przewodami zapewniającymi ich jednoczesną detonację. Do takiego właśnie pomieszczenia wprowadzono około trzydziestu partyzantów z drugiego transportu. Gdy się już tam znaleźli, barak został – być może w nocy, gdy spali – wysadzony. Tym razem nikt z żołnierzy NSZ nie miał szans na przeżycie. Rozerwane szczątki ludzkie pochowano w przygotowanym dole oraz kilku lejach, które pozostały po bombardowaniu lotniska w czasie wojny.

Zamordowano tych najodważniejszych, gotowych do podjęcia ryzyka i wyjazdu na zachód. Tak duże straty oznaczały, że Zgrupowanie NSZ na Śląsku Cieszyńskim i Żywiecczyźnie przestało zagrażać władzy komunistycznej.

Ostatni, trzeci transport wyruszył w drugiej połowie września. Można przyjąć, że i on liczył około trzydziestu „leśnych”. Skierowano go na polanę w rejonie miejscowości Barut, gdzie mieścił się zameczek myśliwski „Hubertus”. Mieszkańcy widzieli 25 września samochody ciężarowe, które zapewne wiozły partyzantów, jak się okazało – na śmierć. Powodzenie akcji ze Starego Grodkowa zachęciło funkcjonariuszy UB do jej powtórzenia. Przybyłych umieszczono w baraku (stodole), który wcześniej zaminowano. Nad ranem 26 września 1946 r. nastąpił wybuch i dopełnił się los ostatniej grupy, która rzekomo jechała na zachód, a znalazła swój koniec w okolicy Strzelec Opolskich. Prawdopodobnie ktoś jednak przeżył, skoro okoliczni mieszkańcy słyszeli nad ranem nie tylko potężny wybuch, lecz i strzały. Zapewne dobijano rannych. Przez kolejne dwa, trzy dni polana obok zameczku była otoczona przez funkcjonariuszy UB i MO (niektórzy wspominają też o osobach mówiących po rosyjsku). Był to czas, kiedy sprzątano teren i grzebano zwłoki, a właściwie ich resztki rozerwane na kawałki. Potem wszystko ucichło. Ciekawi mieszkańcy nie tylko zastali tam wysadzony budynek, lecz znajdowali fragmenty ubrań, a nawet kawałki ciał rozerwane wybuchem.

Kolejne ofiary „Lawiny”

Flame opuścił kryjówkę w Zabrze i powrócił do swych podkomendnych jeszcze przed wyruszeniem drugiego transportu. Tłumaczył „Lawinie”, że musiał dopilnować wyjazdu kolejnych grup, ale miał też odkopać złoto schowane na zboczach Baraniej Góry. Była to zapewne wymyślona historia mająca przekonać „Lawinę” do zgody na jego wyjazd. Funkcjonariusze UB liczyli nie tylko na zamordowanie legendarnego „leśnego”, który wedle planu miał jechać w ostatniej grupie przetrucanej na zachód, lecz i na przejęcie złota. Ostatecznie owe plany się nie ziściły, „Bartek” nie wyjechał bowiem w żadnym z trzech transportów. Brak sygnałów od partyzantów przetrucanych na zachód powodował, że Flame zaczął poważnie traktować ostrzeżenia, które napływały do niego od „Sztubaka”, ale... było za późno. „Lawina”, który stracił już kontakt ze sztabem Zgrupowania NSZ na Baraniej Górze, starał się jeszcze ściągnąć do Zabrze kolejnych partyzantów, którzy potem mieli zostać aresztowani. W ten sposób w pułapkę wpadli m.in. ppor. Józef Kołodziej „Wichura”, jeden z dowódców patroli NSZ, oraz Jan Kwiczala „Emil”, czyli łącznik, od którego rozpoczęła się operacja UB przeciwko zgrupowaniu „Bartka”. Kilka osób zostało później aresztowanych i postawionych przed sądem; „Wichura” i „Emil” zostali skazani na karę śmierci i wyrok wykonano. Kolejne próby „Lawiny”, czynione, by zorganizować ostatni – czwarty – transport lub jeszcze raz ściągnąć „Bartka” do Gliwic, spełzły na niczym.

W ten sposób dopełnił się los około stu partyzantów „Bartka”. Zamordowano tych najodważniejszych, gotowych do podjęcia ryzyka i wyjazdu na zachód. Tak duże straty oznaczały, że Zgrupowanie NSZ na Śląsku Cieszyńskim i Żywiecczyźnie przestało zagrażać władzy komunistycznej. Jego resztki – na czele z dowódcą Henrykiem Flamem „Bartkiem” – ujawniły się podczas akcji „amnestyjnej” w 1947 r. Komuniści byli przekonani, że los pomordowanych pozostanie nieznany, a ich doczesnych szczątków nikt nigdy nie odnajdzie.

Tak się nie stało, ale historia ustalania prawdy oraz poszukiwania miejsc, w których zginęli partyzanci NSZ, to temat na oddzielny artykuł.

Tekst pochodzi z numeru 3/2021 „Biuletynu IPN”.

COFNIJ SIĘ